

Teologia współkreacji

Joseph A. Bracken SJ: *Chrześcijaństwo i proces myślenia, duchowość w zmieniającym się świecie*, tłum. Małgorzata Frankiewicz, Wydawnictwo WAM, Kraków 2008, 163 s.

Książka Brackena ma trzy początki, i to nie wróży dobrze. Pierwszy początek to motto: „Pamięci Jima Hoffa SJ, który bezlitośnie wyśmiewał mnie z powodu teologii procesu, a teraz już (tak czy owak) wie lepiej, z gorącym przywiązaniem poświęcam tę książkę”.

Przywiązanie to rzecz piękna i Hoffie by się zapewne spodobała, ale dlaczego miałby się dziś wstydzić, że wyśmiewał teologię procesu? Możliwe jest w gruncie rzeczy tylko jedno wyjaśnienie – po śmierci Hoffa przekonał się, że teologia procesu to prawdziwa teoria – czyli chrześcijanie wierzą w Boga, a Bóg wierzy w procesualizm. Sądzę, że jesteśmy w tej sprawie winni Hoffie pewną pomoc. Mamy prawo – a może nawet i obowiązek – nie brać serio przekonania, że człowiek jest współtwórcą świata, w tym sensie, w jakim Biblia mówi o tym, że Bóg jest jego stwórcą. Mamy prawo wątpić, czy wszelkie swobodne działanie jest pewnym przyczynkiem do dzieła stworzenia. Koncepcja powszechnej współkreacji – nawet jeśli nie jest herezją – wydaje się bezceremonialnym spoufaleniem ze Stwórcą.

Teologia procesu propaguje przekonanie, że Bóg nie stworzył świata do końca, tylko położył jego metafizyczne fundamenty, resztę pozostawiając stworzonym przez siebie istotom i procesom. Bóg wykreował sytuację wyjściową i zainicjował procesy, które toczyć się mogą same, by tworzyć coraz to nową konfigurację rzeczy, zwierząt i istot inteligentnych, zresztą nie bez ich udziału. Co więc bezpośrednio zawdzięczamy Bogu? Niezbyt wiele i dość dziwne rzeczy – wedle procesualistów. Na pewno prawa przyrody, takie jak grawitacja i zasady pędu Newtona (co godzi się z tradycyjnym poglądem na stworzenie); może ewolucję gatunków i wzrost masy substancji żywej na Ziemi (sens tych osiągnięć wydaje się wątpliwy); niewykluczone, że wiarę w cuda i nieuchronny postęp cywilizacyjny (czemu równie dobrze mógłby sprzyjać Szatan).

Drugi wstęp to przedmowa Johna F. Haughta z Katolickiego Uniwersytetu w Waszyngtonie, w której czytamy:

Rozwijając teologię w kontekście stworzonej przez Whiteheada teorii procesu, autor tej aktualnej książki zdołał połączyć naukę i jej wizję świata w ruchu z dążeniem do doskonałości, które odgrywało zawsze główną rolę w ludzkim duchowym istnieniu. Zastępując stałość procesem, kładąc nacisk na fakt subiektywności, a nie na monotonię materialistycznego mechanicyzmu

oraz przyznając pierwszeństwo dynamicznej relacyjności zamiast trwałej substancjalności, potrafi on pokazać, że duchowa tęsknota nie została usunięta, ale właśnie ożywiona. (s. 9)

Wedle teologii procesu Bóg nie odpoczywał szóstego dnia i nie oglądał efektów swych wysiłków, ale przygotowywał się do współdziałania z ludźmi i może innymi stworzeniami. To, co nas dziś otacza, nie jest rezultatem pierwotnego zamysłu i procesów zainicjowanych przez Stwórcę, ale wynikiem trwałej współpracy między Bogiem i jego podopiecznymi. Bóg wstępnie określił tylko warunki początkowe – takie jak prawa fizyki, hydromechanika niebieska i instynkty biologiczne, ale już rozum filozofów, wiara teologów i zasady sumienia prawego człowieka to efekt współpracy między Bogiem a jego wytworami. Bracken nie kryje pewnej satysfakcji z przypuszczenia, że Hoff niegdyś tę koncepcję wyśmiewał, a dziś „wie lepiej” i milczy.

Trzeci początek znajdujemy we „Wprowadzeniu” autora, który prosi czytelnika o cierpliwość i zapowiada, że uda mu się jakoś pogodzić dogmaty na temat Trójcy Świętej z poglądami Alfreda Northa Whiteheada i postulatami feministki Elizabeth A. Johnson:

Tradycyjne imiona: „Ojciec”, „Syn” i „Duch Święty” zostały słusznie zakwestionowane przez Elizabeth Johnson i inne chrześcijańskie feministki, ponieważ te imiona albo tytuły szerzą skrycie pewną formę patriarchy w obrębie chrześcijaństwa, którą wielu współczesnych mężczyzn i kobiet odrzuca z istotnych powodów. (s. 17)

Bracken stara się więc uwolnić od „seksistowskich podtekstów” (s. 18), mężczyzna i kobieta będą dla niego „jednostką doświadczenia o nieskończonym lub prawie nieograniczonym polu działania, właściwym jej formie egzystencji”, a trzy osoby Trójcy Świętej noszą, jego zdaniem, imiona, pod którymi są znane w „przenośnym użyciu i ze względu na wygodę”.

Po tych zapowiedziach niejeden czytelnik może lepiej zrozumieć powody dokonanej kilkaset lat temu kasacji zakonu Jezuitów, jeśli Bracken jest dobrym przykładem. Ich styl myślenia jest niebezpieczny – intelektualna odwaga słabo się różni od pewności siebie, przywiązanie do tradycji miesza się z nowinkarstwem, a chęć pogodzenia nauki i wiary wyraża się w łatwej zgodzie na powierzchowne uproszczenia.

Bracken stara się ukazać nam jak wiele jest pytań w życiu osób wierzących, na które trudno znaleźć odpowiedź, ponieważ na pierwszy rzut oka odpowiedzi wydają się oczywiste. Namawia czytelnika do nowego spojrzenia na siebie i swoją wiarę, by uwolnić przekonania religijne od deklaratywności i powierzchownego rozumienia:

Toteż nasze rozumienie relacji między Bogiem i światem nie jest tylko teoretycznym zagadnieniem, o którym myśli się czasami, a następnie odkłada się je na bok dla bardziej praktycznych względów. (s. 32)

Bracken tłumaczy, że zrozumienie wiary potwierdza się czynami, a nie werbalnymi zapewnieniami. Namawia i zachęca czytelnika do życia we wspólnocie ludzi ufających Bogu. Stara się namówić go do refleksji nad funkcjonowaniem świata i pociechą, jaką osobom udręczonym przynosi wspólnota chrześcijańska. Argumentuje śmiało i w dość laickim stylu. Opis ludzkiej niedoli i doczesnego szczęścia przypomina mi bajki z dzieciństwa. Nagroda i kara, nagroda i kara, nagroda i kara. Trzeba tylko znaleźć odpowiednie winy i zasługi, niewidoczne na pierwszy rzut oka, a całość staje się zrozumiała i sprawiedliwa. Potwierdzeniem trafności tego opisu świata jest zawsze możliwa szansa oczyszczenia ze zła i z grzechu. Bóg w filozofii Brackena to wielka pralnia sumienia.

Brackena ponosi kaznodziejski styl. Winy i zasługi ujęte są w języku niedomówień i lęku przed karą – żadnej szansy na zrozumienie prawdziwych intencji człowieka rozumnego, sceptycznego, bezstronnego, lecz niepoddanego władzy Kościoła. Takich ludzi zresztą Bracken w ogóle nie dostrzega. Jest tylko „władza zła” na świecie, która musi zostać pokonana przez „władzę dobra”. Te wywody odbieram jako osobliwe pomieszanie powieści fantastycznej z *Państwem Bożym* Augustyna. Już za życia dzielimy się na wybranych i potępionych, na widzących i ślepych, na pokornych i z zatwardziałym sercem. A największym z grzechów jest uparta niechęć do poddania się nauce kościoła rzymskokatolickiego. Istnieje on bowiem na Ziemi po to, by dokonywać ostatecznego testu wiary, by oddzielać ziarno od plew, bo pokazać, że nie ma innej drogi do zbawienia:

Chociaż Jezus zgromadził uczniów wokół siebie i wysłał ich na początek w drogę, żeby głosili owo przesłanie innym Żydom, to jednak uświadamiał sobie na pewno z niepokojem, że jeśli sprawy potoczą się źle, Jego życiowa misja jakby na ironię przyczyni się do wzrostu i rozwoju powszechnej władzy zła na świecie. Jeśli mianowicie Jego współbratymcy Żydzi nie przyjmą jako grupa przesłania, które On i Jego uczniowie głosili, natomiast żydowscy religijni zwierzchnicy będą jakoś zamieszani w Jego śmierć z rąk Rzymian, a później odmówią Jego wyznawcom prawa dalszej przynależności do synagogi, to właśnie owi wyznawcy nie będą mieli innego wyboru niż zorganizowanie się w nocnej sekcje, oderwanej od żydowskich współbratymców. (s. 73)

Rola kościoła zostaje przedstawiona jako część „poła sił” królestwa niebieskiego, podpora i azyl dla pokrzywdzonych nieprawością. Kościół to miejsce dla dręczonych bólem i niesprawiedliwością. Powszechna władza zła jest na świecie wszechobecna. Ludzie swym postępowaniem niweczą zamiary boskie. Co miało być wspólnym dziełem Boga i człowieka, ma nagle bardzo wielu niezapowiedzianych wykonawców. Niegodziwcy i tchórze, oportuniści i egoiści mieszają się do budowy świata i sprowadzają go na manowce. Bracken nie traci jednak nadziei:

Trzy Boskie osoby są bardzo cierpliwe w kontaktach ze swoimi stworzeniami i nie przestają szukać sposobów, żeby skierować nas na nowo w stronę powszechnej władzy dobra. (s. 82)

Bracken rozumie religię w niezwykle wybiórczy sposób. Istnieją wyznawcy wiary i wyznawcy niewiary. Kto jest chrześcijaninem, ten wierzy w Boga prawdziwego. Kto jest innego wyznania, ten wierzy w boga nieprawdziwego, a więc za wiarę wybrał sobie „niewiarę”. Ekumenizm okazuje się bardziej zgubny dla religii niż żądanie, by uznać, że trzy osoby Trójcy Świętej są pozbawione płci. Można się spodziewać, że któregoś dnia Bracken ogłosi na Katolickim Uniwersytecie w Waszyngtonie kurs zatytułowany: *Gender-Free Non-Ecumenic Holy Trinity*. Niewykluczone, że rzuci się wtedy komuś w oczy, że nie jest to ani poważna filozofia, ani teologia.

Magdalena Kobryń